

— Tak, jadę do Buffalo — powtórzyła Beatrycza — Rzecz nagła... otrzymałam list i... nie mogę uczynić inaczej. Proszę mnie nie zatrzymywać, błagam pana, spóźnię się jeszcze na pociąg.

Niewzruszony bynajmniej temi słowami, adwokat odparł suchym głosem:

— To się spóźnisz! Bardzo żałuję, ale muszę z tobą pomówić chwilę. Proszę, chodź za mną.

Beatrycza Darnell nie była przyzwyczajoną, aby mówiono do niej w sposób rozkazujący. Aby tak postępować, pan Ormond musiał mieć ważne przyczyny.

— Przebac mi, kuzynie — rzekła łagodnie. — Zapomniałam na chwilę, ile ci jestem winna. Odlóżę podróż moją do jutra, jeżeli tak sobie życzysz.

I bez oporu udała się za panem Ormond do jego gabinetu.

— Proszę cię, wytłumacz mi, Beatryczo — zaczął adwokat — dlaczego miałas zamiar nas opuścić?

— Nie miałam wcale tego zamiaru — odrzekła młoda dziewczyna. — Tak, jak powiedziałam, jestem zmuszona udać się do Buffalo, ale tylko na kilka dni.

— Zamierzasz więc powrócić? — zapytał pan Ormond łagodniejszym już głosem.

— Ależ oczywiście. Dlaczegoż nie miałabym powrócić?

Odpowiedź ta, w której przebiegała się szczerść i prawda, rozbudziła do reszty adwokata. Promień nadziei wślizgnął się do jego duszy.

— Beatryczo — rzekł, ujmując młodą dziewczynę za rękę — Jest coś w tobie, co cię dręczy i niepokoi. Odgadłem to. Czy nie chcesz mi zaufać i powiedzieć mi, co mogło tak wpłynąć na zmianę, którą od rana widzę w tobie? Nie zdajesz sobie może sprawy z tego, Beatryczo... ale zmieniłaś się bardzo... od tej sceny okropnej, której byliśmy świadkami.

Łagodny wyraz twarzy miss Darnell ustąpił nagle. Była, jak przedtem, zimna i zamknięta w sobie.

— Nie mam nic do powiedzenia — odparła krótko.

Pan Ormond zastanowił się chwilę. Najoczywiściej młoda dziewczyna ukrywała coś przed nim, ale jakim sposobem mógł się dowiedzieć, że to „coś” odnosiło się do zabójstwa pani Clemmens? Nie mógł jej wypytawać wprost, nie chcąc jej urazić a zresztą, czyżby nawet odpowiadać chciała? Jaka okoliczność tylko mogła Beatryczę wprowadzić na drogę zwierzeń. Oto, gdyby była jego narzeczoną. Jeżeli zgodzi się zostać jego żoną, to najwidoczniej sumienie jej było wolne od wszelkiej tajemnicy. Ormond wiedział, znając charakter młodej dziewczyny, że nigdy dobrowolnie nie wyszłaby za niego, mając sobie coś hańbiącego do wyrzucenia. Tej krzywdy nie uczyniłaby mu, choćby przez pamięć tylu lat, przebytych pod jednym dachem.

Ormond był silnie przekonany, że w tym kierunku zawieść się na Beatryczę nie może nie czuć również żadnego niepokoju, jak jego nagła prośba przyjęta zostanie. Odezwał się więc po chwili łagodnym, wzruszonym głosem, patrząc z przywiązaniem na nią:

— Powiedz mi, Beatryczo, że mam ci coś do zakomunikowania. Ale zanim przystąpię do rzeczy właściwej, chcę ci się zwierzyć... zresztą jestem pewnym, że nie będzie to niespodzianką dla ciebie. Nie byłbym o tem jeszcze mówił dzisiaj, ale okoliczności tego smutnego dnia podsunęły mi myśl i przekonały, że dziś właśnie więcej, niż kiedykolwiek, potrzebujesz mieć przy sobie przyjaciela i obrońcę.

Przerwał, nie śmiejąc wymówić dalszych słów. Beatrycza blada była i zmieszana.

— Czy zrozumiałaś mnie? — podjął znowu Ormond niepewnym głosem. — Kocham cię, Beatryczo. Czy zgodzisz się oddać mi swoją rękę?

Młoda dziewczyna cofnęła się nagle. Wyciągnęła ramiona przed siebie, jak gdyby chcąc odepchnąć myśl jakąś nie do zniesienia i spojrzała dziwnym wzrokiem na pana Ormond. Adwokat sądził, że przegrał już sprawę, że najgorsze jego niepokoje zostaną potwierdzone, kiedy Beatrycza, po chwili wahania, zawołała stłumionym głosem:

— Dobroć twoja wzrusza mnie do głębi, kuzynie. Zostać żoną twoją, byłoby zaszczytem dla mnie... ale, niestety, nie mogę ci teraz tak odpowiedzieć, jakbym pragnęła... Nie jestem w stanie... obecnie powziąć tak ważne postanowienie... Później, może...

Uczucie niewypowiedzianej ulgi wstąpiło w serce adwokata.

— Beatryczo! — szepnął — Moja droga Beatryczo!

Chciał ująć młodą dziewczynę w ramiona, ale ona usunęła się zresztą i uczyniła ruch do odejścia.

— Pozostań jeszcze Beatryczo — prosił Ormond. — Wierz, że pragnieniem mojem jest ochronić cię od wszelkich przykrych wzruszeń. Ale jest pytanie, które jestem zmuszony ci zadać — zmuszony okoli-

cznościami, bo inaczej... Powiedz mi, dlaczego tak gorąco zajęł się śmiercią pani Clemmens? Dlaczego ten smutny wypadek podziałał na ciebie do tego stopnia, że nie jestś tą samą, którą byłaś dziś rano jeszcze? Odpowiedz mi, Beatryczo, błagam cię!

Beatrycza podniosła na Ormonda spojrzenie, w którym wyczytał ból i niepokój. Nie mogła już teraz unikać odpowiedzi na jego natrączywe pytanie.

— Dziwi się pan mojemu zmieszaniu — odparła. — Przecież wiadomość o śmierci kobiety, o której pan tak często wspominał, musiała na mnie uczynić wrażenie.

— Tak, zapewne — szepnął Ormond. — Ale dlaczego przyszedł do Białego Domku? Zdaje mi się, że każda kobieta na twojem miejscu...

— Z pomina pan, że nie jestem taka, jak wszystkie kobiety — oto wszystko. Nie zastanawiałam się nad tem, co powiedzą ci ludzie. Kiedy słyszę o czemś tajemniczym i dziwnym, pragnę sama to ujrzeć i zbadać..

— Ale niepokój twój... przestrasz? Wciąż zwierciadło do ręki i przekonaj się, jak teraz jeszcze wyglądasz po tem wzruszeniu.

— Bo nie jestem podobna do innych ludzi, powtarzam. Potrzebuję dłuższego czasu do uspokojenia się.

Mówiąc to, miss Darnell podszła ku drzwiom. Wzrok pana Ormond spoczął instynktownie na jej wyciągniętej ręce, na której już nie błyszczał pierścionek, noszony przedtem przez nią.

— Widzę, kuzynie — odezwała się Beatrycza — że zaciekawiony jesteś tym brylantowym pierścionkiem. Słyszałaś odpowiedź moją, daną młodemu człowiekowi, który go podniósł z dywanu. Ta odpowiedź powinna być wystarczającą dla człowieka, którego szacunek posiadam, skoro chce ze mnie uczynić swoją żonę.

— Dlatego też nie nalegam — zawołał Ormond. — Tylko niektórzy ludzie, którzy byli świadkami twojego zachowania, pozwolili sobie na przypuszczenia...

Ormond przerwał, oczekując na odpowiedź, ale ta nie nadchodziła wcale.

— Beatryczo! — zawołał z wymówką.

— Słyszałam dobrze — odpowiedziała krótko. Dźwięk jej głosu lodowaty i suchy, rozbudził wszystkie obawy w duszy Ormonda.

— Czy mam to tak zrozumieć, że nie chcesz mi dać odpowiedzi? — zapytał niepewnym głosem.

— Nie mogę jej dać — odparła młoda dziewczyna, wychodząc szybko i przerywając rozmowę.

Horacy Byrd.

Horacy Byrd pochodził z dobrej i zacnej rodziny. Przypadek i rady sławnego wówczas detektywa, pana G-ycce, uczyniły z niego prywatnego urzędnika policyjnego. Był uzbrojony w poważne wykształcenie, inteligencję wyższą i wrodzoną dystynkcję, które ułatwiły mu bardzo drogę do wybranej kariery. Po śmierci ojca, pozostawiony bez funduszu i opieki, zaczął sam myśleć o sobie. Zwierzchnicy cenili go bardzo i, pomimo młodego wieku, poruczyli mu najdelikatniejsze misje, wymagające wiele taktu i przeczności. Byrd był w polecenia zwierzchników swoich w najlepszych sferach towarzyskich, gdzie nie podejrzewano, kim był w rzeczywistości.

Dla tej przyczyny młody detektyw nie chciał oficjalnie wystąpić w sprawie tak głośnej, jak morderstwo pani Clemmens i przyjął z wahaniem propozycję doktora Fradwella, do współdziałania w śledztwie. Ta przyczyna jednak nie była jedyną. Byrd był wrażliwy. Nie mógł więc obojętnie przyglądać się do kierowania sprawą, gdzie w grę wchodziła tak czarna istota, jak miss Beatrycza Darnell. Kiedy pomyślał, że przeciw niej skierowane mogło być śledztwo, doznawał niemiłego uczucia niesmaku i przykrości.

Z radością więc i prawdziwą ulgą odczytał tego wieczoru krótki bilecik, przysłany przez adwokata Ormonda, w którym tenże mu donosił, że kuzynka jego działała tylko, przybывая na miejsce zbrodni, pod impulsem kobiecej ciekawości i była daleką od możliwości objaśnienia policyjnego w czemkolwiek.

Byrd położył się więc zadowolony i uspokojony, wierząc głęboko w niewinność młodej dziewczyny, żałując nawet, że mógł ją chociaż na chwilę mieć w podejrzeniu. Ale nazajutrz czekała go przykra niespodzianka. Pan Ferris zaraz rano obarczył go zleceniem udania się w sprawie bankowej do Monteith i pierwszą osobą, którą ujrzał na dworcu, była Beatrycza Darnell. W podróżnym ubraniu stała na peronie, blada, z błyszczącymi oczami, zdradzając silny niepokój i zdenerwowanie.

W chwili, w której Byrd koło niej przechodził, przystąpił do niej jakiś młody człowiek i zapytał:

— Czy długo ma pani zamiar zabawić w Buffalo?

— Nie wiem jeszcze — odpowiedziała miss Darnell — może tydzień, a może nawet miesiąc.

A więc Beatrycza Darnell opuszczała Sydney! Ten nagły wyjazd wyłuskał na ucieczkę. Wzbudził on natychmiast wszystkie podejrzenia detektywa. Byrd nawet czynił sobie wyrzuty z rozmowy swojej z adwokatem, która pozwoliła młodej dziewczynie do odebrania od niego ostrzeżenia. Miss Darnell musiała zatem czuć się winną, skoro skorzystała z tego ostrzeżenia i po tanowila wyjechać.

Ale już pociąg wjeżdżał na dworzec i Byrd musiał przerwać swoje rozmyślanie.

Większą część dnia zatrzymał się w Monteith i tym sposobem nie zdążył do Sydney na pierwsze otwarcie śledztwa, zwołane przez koronera. To opóźnienie nie sprawiło mu przykrości, przeciwnie, wstręt jego do współdziałania w tej sprawie wzmógł się jeszcze od chwili, kiedy się dowiedział, że miss Darnell wyjechała do Buffalo.

Była godzina piąta, kiedy powrócił do Sydney. Równocześnie z jego pociągiem wjechał na dworzec pociąg błyskawiczny i pan Byrd obojętnie sporządził na nielicznych podróżnych, wysiadających z wagonów. Jakież było jego zdumienie, kiedy, pomimo gęstej wołki, osłaniającej jej twarz całą poznał pomiędzy nimi Beatryczę Darnell. A przecież rano jeszcze wspominała, że nieobecność jej potrwa przynajmniej tydzień cały.

— Co to ma znaczyć? — niepokoił się detektyw. — Cóż się mogło jej wydarzyć, że zmieniła pierwszy zamiar? A może zresztą miss Darnell wcale nie miała zamiaru udać się do Buffalo. Detektyw widział w jej ręce tylko niewielką torebkę, niewystarczającą do dłuższej podróży. Słowa zaś, przez nią rzucone młodemu człowiekowi, mogły być rozmyślnym kłamstwem, dla zaspokojenia jego ciekawości.

Chcąc przekonać się, czy przypuszczenia jego są prawdziwe, Byrd poszedł zasięgnąć informacji. Dowiedział się, że młoda dziewczyna kazała sobie wydać w kasie bilet powrotny do Buffalo, jednakże z niego nie skorzystała. Ta nowa komplikacja zaczęła bardzo dręczyć detektywa i przeszkodziła mu zjeść z dobrym apetytem obiad, zamówiony w hotelu. Był więc bardzo zadowolony, kiedy wkrótce pojawił się u niego pan Ferris i spędził z nim resztę wieczoru.

Po zapytaniu Byrda o rezultat bytności jego w Monteith, pan Ferris opowiedział mu, co się przez czas jego nieobecności wydarzyło w Sydney. Pan Ferris naturalnie asystował przy śledztwie koronera, podczas którego poczyniono różne wyznania, komplikujące bardzo i tak już niejasną sprawę zabójstwa pani Clemmens. Nie wykryto jednak nic, coby mogło rzucić cień winy na garbuska i aresztowanego włóczęgę. Świadkowie zeznali, że widzieli włóczęgę wchodzącego do ogrodu i zbliżającego się do drzwi kuchni, której progu jednak nie przestąpił i oddalił się po chwili. Co zaś do garbuska, który tak dowcipnie mówił o zbrodniach i morderstwach, ten, przybywszy tego samego dnia do Sydney rano, udał się prosto do Pałacu Sprawiedliwości i opuścił go razem ze wszystkimi, wypowiadając przedtem teorię swoją, która tak szybko w rzeczywistość się zmieniała.

— Możliwe jest jednakże — dodał pan Ferris — że garbus wiedział więcej, niż to chciał przyznać. Może jest współnikiem, któremu powierzono odwracać i kierować w inną stronę nasze podjrzenia.

— Czy nie wykryto jakiego nieprzyjaciela pani Clemmens?

— Nie — ale to teoria, za którą idąc, zbłądzićby można łatwo. Co do mnie, nie rozumiem, jakiego nieprzyjaciela mogła mieć ta kobieta, nie mająca żadnej służby, nie zadająca się z nikim i nie zajmująca się cudzemi sprawami.

— Pani Clemmens była więc unikatem pośród kobiet?

— Zdaje się. Od lat czterdziestu, jak przebywa w Sydney, nie wyszła ze swojego domu, ani też nie przyjmowała nikogo. Tylko jeden pan Ormond tam bywał codziennie w czasie rozpraw. Nie miał czasu powrócić do domu na śniadanie, więc pani Clemmens przyrządzała je u siebie. Była to kobieta skrupulatna i metodyczna, takich się mało spotyka. Wstawiała codziennie o jednej godzinie, zapalała ogień w kuchni i przygotowywała dla siebie pierwsze śniadanie. Następnie rano spędzała na szyciu, poczem zabierała się do gotowania drugiego śniadania dla pana Ormonda, który niezawsze regularnie się zjawiał, ale o jakiej porze by przyszedł, śniadanie świeże i gorące oczekiwało już na niego.

(Ciąg dalszy nastąpi)